

Stracony impet. Czy na zawsze?

Marcin Wojciechowski

W mediach Ukraińcy i Polacy w zasadzie znajdują informacje o sobie tylko w przypadku kolejnych skandali, napięć, nieporozumień. Taki jest ton relacji polskich dziennikarzy o Ukrainie oraz ukraińskich o Polsce. Zwracają oni uwagę głównie na gigantyczne kolejki po wizy przed polskimi konsulatami oraz niezbyt przyjazną atmosferę na granicy.

Praktycznie nie ma ostatnio miesiąca bez jakiegoś miniskandalu w stosunkach polsko-ukraińskich. W maju przez obydwa kraje przetoczyła się ostra dyskusja, czy z powodu kryzysu i opóźnień w przygotowaniach Euro 2012 nie powinno odbyć się jedynie w Polsce albo z przewagą meczów w Polsce, a nie w równych proporcjach w Polsce i na Ukrainie, jak planowano wcześniej. Ton komentarzy medialnych wypowiedzi przedstawicieli władz lokalnych – zwłaszcza polskich – ale także struktur zajmujących się organizacją Mistrzostw, był daleki od dyplomacji i dbania o poprawne relacje między naszymi krajami.

Z kolei w czerwcu miała miejsce wspólna wizyta szefów dyplomacji Polski i Niemiec w Kijowie. Wizyta, wydawałoby się, mająca rangę symbolu, bo rzadko zdarza się, by wicekanclerz najbogatszego członka Unii Europejskiej towarzyszył szefowi polskiej dyplomacji w podróży do kraju, o którym wiadomo, że od lat jest priorytetem polskiej polityki zagranicznej. Po tej wizycie Frank-Walter Steinmeier przyznał otwarcie, że wracając ma jeszcze więcej pytań i wątpliwości, niż miał w drodze do Kijowa. Wspólnie z Radosławem Sikorskim przedstawił w imieniu szwedzkiej prezydencji w Unii Europejskiej listę warunków, które powinna spełnić Ukraina, by jeszcze w tym półroczu podpisać z Brukselą umowę o pogłębionej strefie wolnego handlu, zwaną umową stowarzyszeniową z Unią. Byłby to milowy krok w instytucjonalnym zakotwiczeniu Ukrainy w Europie. Ale strona ukraińska była z wizyty niezadowolona, zdając sobie sprawę, że z racji totalnej wojny politycznej nad Dnieprem nie jest w stanie spełnić europejskich warunków, niezbyt zresztą wygórowanych. Chodzi przede wszystkim o dostosowanie prawa gospodarczego – zwłaszcza stawek celnych – do standardów Unii Europejskiej. W praktyce oznacza to uchwalenie kilkunastu ważnych ustaw, które można przepisać z gotowych wzorców innych państw. Do ich uchwalenia potrzebna jest jednak wola polityczna i większość

w parlamencie, której nad Dnieprem nie ma z powodu faktycznie już rozpoczętej kampanii przed wyborami prezydenckimi w styczniu 2010 roku. Zachodni politycy i dyplomaci – w tym także polscy – zachodzą w głowę, dlaczego Ukraina traci czas i kolejną szansę na zbliżenie z Unią Europejską.

Zachodni politycy i dyplomaci zachodzą w głowę, dlaczego Ukraina traci kolejną szansę na zbliżenie z Unią Europejską.

Z kolei politycy ukraińscy uważają, że bezpośrednio po pomarańczowej rewolucji Europa zrobiła zbyt mało, by pokazać, że jest gotowa widzieć Ukrainę w swym gronie. Zarzuty dotyczą przede wszystkim restrykcyjnej polityki wizowej oraz braku wyraźnej deklaracji ze strony Komisji Europejskiej o możliwej perspektywie członkostwa dla Ukrainy. Z punktu widzenia Warszawy, Berlina czy Paryża trudno to zrozumieć, ale dla ukraińskich polityków w tej chwili ważniejsze od europejskiej przyszłości ich kraju jest to, kto za pół roku zostanie prezydentem i będzie rozdawał karty w Kijowie przez co najmniej pięć następnych lat.

Wyrwana z kontekstu data

Wróćmy jednak do spraw polsko-ukraińskich. Lipiec to tradycyjnie miesiąc sporów historycznych między naszymi krajami: coraz głośniej obchodzona nad Wisłą rocznica mordów Polaków na Wołyniu przez Ukraińską Armię Powstańczą w 1943 roku; coraz bardziej stanowcze żądania polskich organizacji kresowych i coraz większa ich aktywność w mediach za sprawą nowego lidera, księdza Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, który znakomicie wykorzystuje fakt, że żyjemy w mediokracji, napędzanej zwłaszcza przez goniące za tanią sensacją media elektroniczne. Efekt jest taki, że radykalny, nienawistny, najczęściej jednostronny język kresowiaków przenika do głównego nurtu polskiej debaty publicznej. Zwolennicy polsko-ukraińskiego pojednania i zrozumienia są w najlepszym razie przedstawiani jako naiwniacy, a częściej jako agenci przeciwnej strony albo ludzie skłonni przemilczać prawdę w imię celów politycznych. Z trudem przebija się głos, że o historii, nawet tej najbardziej bolesnej, trzeba rozmawiać, ale szukając takiego języka, który będzie jak najbardziej wspólny i nieoskarżycielski wobec Ukraińców, bo polsko-ukraińska historia nie jest tak jednoznaczna jak spór polsko-niemiecki czy polsko-rosyjski. Mówiąc wprost: nie negując okrutnego charakteru wydarzeń wołyńskich, Polska przez kilka wieków była jedną z sił brutalnie powstrzymujących zasadne ukraińskie aspiracje do wolności, niepodległości, zachowania własnej tożsamości, religii, języka i tak dalej. W Polsce brakuje tej refleksji. Na wojenne wydarzenia patrzy się jak na wyrwaną z kontekstu datę, w której o winie Ukraińców przesądza wyłącznie znacznie wyższa liczba ofiar po polskiej stronie i niezwykła brutalność napastników.

Pamięć o czystkach etnicznych na Wołyniu i w Galicji Wschodniej z lat 1943-1944 jest wciąż nierozbrojoną miną w stosunkach polsko-ukraińskich. Obawiam się, że to, z czym mieliśmy do czynienia w Polsce w tym roku, to dopiero przygrywka do grania wołyńską kartą w przyszłości. Niestety, Ukraińcy – zwłaszcza władze, ale także społeczeństwo – nie są w stanie wsłuchać się w polskie oczekiwania czy choćby spróbować je usłyszeć. W kwestiach historycznych, po okresie zrozumienia i prób poszukiwania bliskości, zaczynamy coraz częściej mówić różnymi językami – każdy swoim. Polacy mówią: Wołyń, „nie” dla kultu UPA, protestują przeciwko stawianiu pomników Stepana Bandery. Ukraińska wrażliwość nie waha się porównać policji II Rzeczypospolitej do gestapo czy NKWD, jak to zrobił na początku lipca, podczas otwarcia muzeum we Lwowie, szef ukraińskich służb specjalnych Walentin Naliwajczenko. Paradoks polega na tym, że to jeden z najlepszych, najbardziej profesjonalnych i europejskich urzędników państwowych nad Dnieprem, co zresztą udowodnił, pracując jako dyplomata w Brukseli. Jeśli ludziom tego formatu po obu stronach granicy będą zdarzały się niezręczności, to co dopiero mówić o zachowaniu miernot czy osób działających w złej woli.

Na przełomie lipca i sierpnia polską opinię publiczną poruszył pomysł europejskiego rajdu rowerowego szlakiem Stepana Bandery, zorganizowanego przez tajemniczą fundację z zachodniej Ukrainy. Nawet w najśmielszych snach nie można było sobie wyobrazić lepszego prezentu dla polskich środowisk kresowych, chcących następnej awantury z Ukrainą, gdy nie ucichły jeszcze echa poprzedniej.

Sądząc po doniesieniach gazet czy przekazie mediów elektronicznych z Ukrainy i Polski, w zasadzie dowiadujemy się czegoś o drugiej stronie tylko w przypadku kolejnych skandali, napięć i nieporozumień. Taki jest ton relacji polskich mediów o Ukrainie oraz ukraińskich o Polsce, które zwracają uwagę głównie na gigantyczne kolejki po wizy przed polskimi konsulatami oraz niezbyt przyjazną atmosferę na granicy.

**Radykalny,
nienawistny, najczęściej
jednostronny język
kresowiaków przenika
do głównego nurtu
polskiej debaty
publicznej.**

Wciąż ogromny kapitał

Na szczęście media są tylko krzywym zwierciadłem rzeczywistości. W Polsce i na Ukrainie wciąż jest ogromny kapitał wzajemnej sympatii, życzliwości i zrozumienia. Jakby na przekór doniesieniom medialnym czy bezradności elit, może on tchnąć nową energię w stosunki między naszymi krajami. Pytanie, w jakim stopniu ten potencjał uda się utrzymać. Po stronie ukraińskiej są na to większe szanse, bo Polska stanowi dla Ukraińców przykład kraju atrakcyjnego, kraju sukcesu, względnego dobrobytu,

stabilności politycznej, demokracji, respektowania praw jednostki – krótko mówiąc, kraju, w którym chciałoby się żyć. Dzięki podobnym skojarzeniom, mimo koszmaru II wojny światowej, Niemcy są dziś jednym z państw najlepiej postrzeganych przez Polaków. Gorzej, niestety, może być z postrzeganiem Ukrainy przez Polaków. Dla przeciętnego Polaka jest to kraj niestabilny, niespełniający pokładanych w nim oczekiwań, nieumiejący wykorzystać swej historycznej szansy. Przyznam, że takich właśnie opinii najbardziej obawiam się w stosunkach polsko-ukraińskich.

Zakładam, że za jakiś czas Ukraina upora się z kryzysem – zarówno politycznym, jak i gospodarczym – i nada nowy impuls swoim staraniom o zbliżenie z Unią Europejską. Oby nie stało się jednak tak, że za piętnaście-dwadzieścia lat coraz bardziej syci i przyzwyczajeni do standardów unijnych Polacy nie znajdą w sobie zrozumienia, dlaczego kolejnym państwem w unijnym gronie ma być Ukraina, z którą trzeba będzie dzielić się niedawno zdobytym dobrobytem. 🏰

Marcin Wojciechowski jest publicystą „Gazety Wyborczej”. W latach 1999-2003 był korespondentem na Ukrainie, w latach 2003-2005 – w Moskwie.